

Dokąd jedzie robot zwany autonomicznym samochodem?

14 kwietnia 2023

Uśmiechnięty ekran telewizora raportuje o kolejnym sukcesie Doliny Krzemowej. Technooptymiści znów mogą szczytować. Po hulajnodze i Uberze mieszkańcy San Francisco natrafiają na jeszcze jedną atrakcję – będą mogli pojechać do restauracji na owoce morza autonomiczną taksówką. Ciesz się późny wnuku Edisona – pierwszego konstruktora elektryka.



Ale mało zdarzeń mówi więcej o naszej hiperprzemysłowej cywilizacji i jej bohaterach niż to kolejne cudo doliniarzy. Pomińmy wątek, komu właściwie potrzebne są autonomiczne samochody, poza tym, że nie będzie w nich gwałcicieli. Zbrojeniówce, waszyngtońskim i warszawskim jastrzębiom? I owszem. Na nowoczesnym polu walki pojawi się kolejna po dronach autonomiczna broń, np. zarządzane sztuczną inteligencją czołgi. Musku prowadź. Ale jest druga strona cyfrowej manii. O niej nie wie telewizyjna redaktorka, tym samym jej słuchacze. Czasami rzuci okiem na dokumentalne filmy Ewy Ewart. Od czasu do czasu odsłaniają one ciemną stronę globalnego, starczego kapitalizmu, którym rządzą grube portfele „inwestorów”. Pomóżmy jej w tym zadaniu.

Sam samochód jest wykwitem współczesnych osiągnięć chytrości rozumu. To przecież robot. W jego wnętrznościach skumulowały się osiągnięcia myśli ludzkiej stulecia. Są tam detektory, lasery do wykrywania obiektów, radary wykorzystujące fale radiowe, kamery z widokiem wokół osi, ultradźwięki i promieniowanie podczerwone dla obrazowania termicznego oraz GPS ułatwiający lokalizację. Do tego dochodzi intrerfejs między człowiekiem a maszyną. I tak science fiction staje się realiem.

Koledzy Morawieckiego

W erupcji hołubionej obecnie technologii cyfrowych skumulowało się wiele pierwiastków tworzących amalgamat planetarnego kryzysu. To dominacja portfeli inwestycyjnych sępiego kapitału. Trudno mu obecnie znaleźć zyskowe inwestycje w realnej gospodarce. Jak kania deszczu szuka, gdzie by tu jeszcze upchnąć nadwyżkę błakającą się po różnych lokatach, a pochodzącą z odsetek, udziałów, rent. Może w nieruchomości biurowe czy mieszkaniówkę, może w obligacje państw i produkty finansowe, a może w nowe inwestycje związane z elektrykiem – w produkcję baterii, wodoru? Może w komputery kwantowe? Ten kapitał powstał dzięki wyjątkowej rentowności platform cyfrowych. Sięga ona nawet 40 proc., a to kochają giełdy.

Konta rentierów pęcznieją, bo podatki dla cyfrowych kolosów są śladowe. Dlatego 62 miliarderów posiada więcej bogactwa niż biedniejsza połowa ludności świata, a przeciętny bank dysponuje skonsolidowanymi aktywami sięgającymi 2 bln dolarów. Na przykład fundusz inwestycyjny BlackRock Larry'ego Finka zarządza 9. bilionami dolarów. Dochody krezusów nabierają dodatkowo żywotności po leżakowaniu w rajach podatkowych. Ten bilionowy nawis szuka ujścia w start-upy, w centra badawcze, by trafić główną wygraną na loterii przełomowych technologii, które z czasem mogą znów przynieść szczęśliwcom fortunę. Taki kapitalizm powstał w XIX wieku. To kapitalizm sprytnego, rzutkiego przedsiębiorcy. Na ogół sam niczego nie wynajdzie – ma trochę kapitału, żeby potencjalne innowacje wdrożyć, i ... zaspokajać nieskończone, rzekomo, potrzeby ludzi. Co ciekawe, to nie wynalazcy się bogacili, tylko bezwzględne, psychotyczne hieny przedsiębiorczości.

Symbolem może być najbogatszy swego czasu „kapitan przemysłu” – Richard Arkwright, „balwierz o tłustych policzkach i opasłym brzuchu”, jak go opisał Thomas Carlyle. Początkowo fryzjer i drobny handlarz, wykorzystuje cudze wynalazki: maszyny przędzalnicze i zakłada dwie duże przędzalnie. Z czasem

przynoszą mu fortunę, tytuł lordowski i miano fabrykanta naszych czasów. W jego działaniach liczy się tylko zysk. Nic nie może i nie powinno ograniczać jego przedsiębiorczości, bez względu na skutki ekologiczne i społeczne. Ekonomiści i Sławomir Mentzen nazywają to wolnym rynkiem.

Wolnym od czego? Współczesnym jego wzorem jest Elon Musk. SpaceX, firma Muska, chce uszczęśliwić dostępem do sieci prawie 3 mld ubogiej ludzkości, żyjącej wciąż bez dostępu do reklam. W tym celu powstaje jego Starlink, system telekomunikacyjny składający się z 12 tys. satelitów. Na orbicie znajduje się 5400 satelitów, z czego około 1700 to własność Muska. Żeby umieścić je na orbicie, rakieta Falcon 9 musi startować 570 razy. W trakcie każdego lotu zużywa 147 ton nafty oraz 341 ton ciekłego tlenu, co daje w sumie 600 ton ekwiwalentu dwutlenku węgla. Tu musimy dodać 100 tys. lotów samolotami każdego dnia. Każdy spala mniej więcej 100 ton paliwa (wg Mike'a Bernersa-Lee). Dzięki tak kosztownej ekologicznie „inwestycji” ubogi będzie mógł obejrzeć nowobogackie rezydencje i wysłuchać podcastów na temat drogi do szczęścia dzięki edukacji, marzeniom i przedsiębiorczości.

Kiedy zaś weźmie te porady za dobrą monetę i ruszy w świat – napotka mur fizyczny i ideologiczną tarczę narodowej prawicy. Dowie się, że zagraża czystości rasy. Powie mu to właśnie współczesny Spencerek – Sławek Mentzen, przyjaciel wszystkich represjonowanych przez państwo. Reżyser i narrator bajek o wolnym rynku dla młodego przedsiębiorcy, a faktycznie przyszłego korpuludka. Ale w żadnym odcinku odbiorca się nie dowie, ile biur doradców podatkowych czy browarów można stworzyć? W końcu konfederat-gołodupiec będzie musiał stukać w klawiaturę w usługach biznesowych dla wielkich korporacji. I bronić tej klawiatury przed miłośnikami kóz i gołębi, nie znających, a może nawet nieszanujących naszego papieża – Wielkiego Jana Pawła.

Żeby tylko. Meg Schwamb, amerykańska astrofizyczka, pyta na łamach czasopisma Scientific American, „czy Elon Musk powinien

decydować o tym, co ludzie widzą na nocnym niebie?”. W sumie, czy polityka biznesowa SpaceX, angielskiej One-Web czy chińskiej Galaxy Space może nam zastąpić kantowskie gwieździste niebo? Ale jest jeszcze jedno trudne pytanie: dokąd wiozą nas elektryk i jego autonomiczny brat?

Kto zajmuje się zyskami i stratami ludzkości?

Może sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres? Na lewicę w obecnej kondycji ideologicznej i organizacyjnej trudno liczyć. Pozostaje kret rewolucji – kryzys planetarny i globalny stan wyjątkowy. Otrzeźwi on zyskobiorców, a następnie ich mniejsze i większe ofiary. Jak wygląda ciemna strona cyfrowej rewolucji?

Po pierwsze zauważmy, że kryzys obecny: klimatyczny, surowcowy, społeczny ma charakter globalny. Praktycznie w różnych miejscach kuli ziemskiej trwają procesy skutkujące negatywnymi skutkami naruszającymi homeostazę planety.

Realizacja transformacji energetycznej, zgodnej z prokapitalistyczną ideologią Komisji Europejskiej, zbliży ślad węglowy konsumpcji Europejczyka do śladu, który pozostawia konsumpcja współczesnego Indusa. Ten ma przeciętny dochód 2 tys. dolarów, Europejczyk 19 razy większy. Dlatego realia życia na globalnym Południu to między innymi ubóstwo 2,2 mld ludności, ponad miliard żyje w nędzy, a głoduje 180 mln dzieci. Pozbawieni są dostępu do elektryczności. Dlatego 3 mld je zupę z gwoździa: spala w kuchni drewno, chrust, zwierzęce odchody. W sumie, ogołaca z szaty roślinnej powierzchnię Ziemi, zwiększając albedo.

Tu pojawia się nowa geopolityka – geopolityka minerałów potrzebnych do transformacji energetycznej i cyfrowej, słowem, nadchodząca wojna o metale rzadkie. Chodzi tu głównie o koltan, niob, iryd, tor, lit itp. Według różnych szacunków

popyt na lit wzrośnie do 2030 roku o 1800 procent, ogółem aż o 4,3 tys. procent. Podobnie ma się rzecz a kobaltem. Już teraz milion dzieci pracuje przy jego pozyskiwaniu w Katandze, jak za czasów Leopolda II przy pozyskiwaniu kauczuku w Kotlinie Konga. A to tylko połowa tak potrzebnego rewolucji energetycznej minerału. Dodatkowo sprawę komplikuje fakt, że to Chiny w obecnej chwili wytwarzają trzy czwarte baterii litowych na świecie. Dlatego wielkie korporacje wydobywcze, których bazą jest Europa albo USA, penetrują globalne Południe. Ich wzrok przyciąga zwłaszcza litowy trójkąt w Ameryce Łacińskiej.

Działają one we współpracy z miejscowym kompradorskim biznesem i politycznymi marionetkami na państwowych posadach. Globalne Południe, jej ludy, są przedmiotem żarłocznej eksploatacji ich ziem i bogactw naturalnych, czyli ekstraktywizmu. To między innymi mega-górnictwo, karczowanie, wylesianie. Do tego fabryki w polu – przemysłowa uprawa soi i transgenicznej pszenicy HB4, do czego potrzeba wyjąławiających glebę herbicydów. W rezultacie Europejczyk będzie wdychał czystsze powietrze, ale pod warunkiem, że zrobi to u siebie. Na pozostałych kontynentach nasilają się susze bądź ulew (El Nino, La Nina).

Kurczy się bioróżnorodność, zanika wiele gatunków owadów i ptaków, wysychają rzeki. W końcu miejscowa ludność pozostanie bez wody i gruntów ornych, na dodatek toksyczne odpady chemiczne zanieczyszczą florę i faunę, zagrażając także życiu ludzkiemu. Np. w Gwatemali, Hondurasie, Peru widać wyraźnie rosnącą rolę ruchów rdzenno-chłopskich. Stają one naprzeciwko korporacji, a także... miejscowego państwa. Bo to ono staje w obronie biznesu i to z jego strony spadają represje. Najczęściej wywłaszczenia ziemi przodków dokonuje policja lub wojsko, a więc instytucje opłacane z podatków całej ludności. Pozostają za to obietnice lepszej przyszłości dzięki darom Muska i całej ferajny kapitalistów pieniędzy.

Kolejne na liście oczekujących do „golenia” są kraje z

solniskami litu: Boliwia, Chile, Peru, Argentyna. Sprawujący obecnie władzę lewicowi przywódcy w tych krajach dążą do suwerennej kontroli nad narodowymi bogactwami. Ostatnio inicjatywę w tym kierunku podjęli prezydent Meksyku Andrés López Obrador oraz prezydent Boliwii Luis Arce. Apelują oni o wspólne zaprojektowanie polityki rozwojowej, która zapewni tym krajom pozycję dostawców litu na suwerennych warunkach. Jeden ze sposobów sprowadza się do tego, by działać na rynku litu podobnie jak OPEC na rynku paliw.

Nie może być tak, że amerykańskie korporacje będą nadal traktować trójkąt litowy, jak w l. 70/80 złoża ropy naftowej. Prezydenci krajów opowiadających się za nacjonalizacją przemysłu naftowego ginęli w tajemniczych katastrofach lotniczych. Taki los spotkał prezydentów Ekwadoru Jaime Roldosa (24 maja 1981) i Panamy – Omara Torrijosa, który zginął 31 lipca tego samego roku. Teraz też pojawia się ryzyko krucjaty Wujka Sama w imię demokracji i praw człowieka. Państwa te muszą bowiem wdrożyć suwerenny model inwestycyjny. Ale jest on sprzeczny z obecnym modelem biznesowym. Ten pozwala na prywatyzację potrzebnych dla górnictwa zasobów, np. jak rzek w Chile, a konkretnie rzeki Maipo. Dlatego państwo boliwijskie nie zamierza, ani prywatyzować, ani udzielać koncesji na eksploatację boliwijskich solnisk. Majątek, produkcja, rynek, podatki i tantiemy pozostaną pod kontrolą państwa. W tym kontekście publiczna firma Yacimientos de Litio Bolivianos (YLB) będzie obecna w całym łańcuchu produkcyjnym: od wydobywania, przetworzenia, aż do marketingu produktów.

Kto po Samirze Aminie?

Lewica zajęta rewolucją kulturową nie idzie za radami swoich ideowych analityków, np. Samina Amina, Ladisława Dowbora, Johna Bellamy'ego Foster, Emira Sadra, Przemysława Wielgosza. Ich myśli od dawna rozpowszechnia Instytut Wydawniczy Książka i Prasa. Lewica milczy nawet w sprawie globalnego podatku progresywnego od kapitału, a więc głównej

idei Thomasa Piketty`ego. Koledzy prezesa Obajtka mogą spać spokojnie. Pozostaje też głucha na postulat Mariany Mazzucato, żeby wspólnota życia i pracy miała udział w zyskach firm, które korzystają z jej infrastruktury, a pośrednio z badań podstawowych i prac badawczo-rozwojowych, finansowanych z publicznych funduszy.

Z wynalazków i innowacji tu powstałych obrotni biznesmeni jak Steve Jobs tworzą swoje iPhony. Faktycznych wynalazców wystarczy honorować odpowiednimi gratyfikacjami. A na wdrożenie ich pomysłów ogłaszać przetargi wśród firm publicznych i prywatnych. Publicznymi i prywatnymi firmami zarządzają przecież ci sami menedżerowie i specjaliści, panie Mentzen. Różnica polega na tym, że menagement korporacji prywatnej może ciąć koszty płacowe i zmniejszać zatrudnienie. Ale to mikroekonomiczne kryterium w ostateczności prowadzi do obniżenia globalnego popytu.

Najbardziej potrzebne wszystkim mieszkańcom planety są inwestycje w kontrolowaną syntezę jądrową. Dopiero ona będzie kolejną prometejską technologią dla ludzkości. Do tego trzeba dodać technologie wychwytywania CO2 z powietrza oraz powtórne zalesianie, tym bardziej, że od 2000 r. znikła jedna dziesiąta powierzchni lasów. Tymczasem w Polsce PiS rżnie, ile może. Chociaż temu możemy zapobiec tej jesieni.

Autorstwo: Tadeusz Klementewicz

Źródło: Trybuna.info